

**KONRAD KOMORNICZAK**

# **„TRZECI SEN”**

Dlaczego śnimy o takich błahostkach? Zaciskamy mocno kciuki, chuchamy na szczęście, obgryzamy nerwowo paznokcie? Po co kupujemy czerwoną bieliznę, maskotki, by oszukać fortunę; alkohol, by ukoić strach? Po co odpukujemy w niemalowane jeśli na koniec to nam odpukają? Albo i nie. Czy nie lepiej nie myśleć? Czy nie lepiej wstać, iść, wrócić, położyć się i zasnąć? O czym wtedy śnić i w jakim celu? Takich, co wyśnili swój sen na jawie było przecież niewielu, a jeśli przyjąć, słusznie skądinąd, że połowa z nich zrodziła w głowie koszmar, tym mniej by tego zostało. Ja jednak zawsze w jakiejś części byłem masochistą. Od dziecka lubiłem skazywać się na niepowodzenie i mnożyć nierealne pomysły. Zostawiać za sobą niedokończone mosty. Wszystko to, by po całym dniu mocowania się z oporną rzeczywistością bez poczucia pustki skierować wzrok ku światu, który kreuje się sam; gdzie myśli z braku grawitacji dojrzewają szybciej. Bez udziału Boga.

Tego wieczora po raz kolejny złożyłem zmęczoną, podobnymi do tych bzdurami, głowę na poduszkę. Włączyłem telewizor, żeby coś przyjemnie szumiało i zamknąłem oczy. Nie mogłem wiedzieć, że nie dane mi będzie przespać spokojnie tej nocy. Zresztą nawet gdybym wiedział to co? Naprawdę nie wiedziałem. Sen przyszedł bardzo szybko. Obraz zamiast zbliżać się do mnie, oddalał się na podobieństwo powiększonego zbyt szybko zdjęcia, które dopiero z odległości nabiera odpowiedniej ostrości, wyraźnych konturów i barw.

Na horyzoncie coraz wyraźniej widziałem słońce. Stałem pośrodku ozdobionego wzorem z czarnej kostki deptaku, słysząc charakterystyczny szum. Kochałem go, choć nie znałem jego pochodzenia. Tym bardziej dziwiłem się, że ludzie wokół mnie zdają się nie zwracać na niego uwagi. Zajęci bieganiem, rozmową, paleniem papierosów, przesiadywaniem przy barze, czy grą w piłkę na plaży. Grą w piłkę na plaży? Powoli odwracając głowę dostrzegłem, że po mojej prawej stronie rozciąga się długa i szeroka, złocista plaża biegnąca wraz z horyzontem aż do wychodzących w morze niewysokich, wygładzonych wieloletnim działaniem spienionych fal, skał. Te z kolei dawały przyczynę do wzniesień rozciągających się po mojej stronie lewej. Wzniesień biegnących łukiem z powrotem ku tej samej plaży. Zatrzymałem na moment błądzący po okręgu wzrok. Na jednym ze wzgórz w oddali dostrzegłem figurę na kształt olbrzyma z rozpostartymi ramionami. Nie widziałem jednak jego twarzy i nie wiem czy on widział moją. Czyżbym się mylił? Czyżby i ta kraina miała swojego *spiritus movens*? Zapaliłem. Dlaczego nigdy nie palę papierosów? Ach tak. Straszą mnie rakiem, zawałem serca, udarem. Straszą, że zabiją całą moją rodzinę. Poza tym i tak palić wolno już tylko w prywatnym ukryciu pod nieprzenikalną osłoną ostracyzmu ludzkich oczu lub zupełnie swobodnie, ale we własnych marzeniach właśnie. Szedłem z papierosem w ustach zatem. Nie zwracałem uwagi na pokazujące się co rusz wśród pięknych śniadych kobiecych i męskich twarzy, sylwetki kolegów ze szkoły, rodziców, krewnych, pań z mięsnego, panów z ochrony i wszelkiej maści znajomych nieznajomych. To tylko sen w końcu. Zacząłem się więc nim cieszyć. Jeszcze tylko krótki rzut oka na tablicę z nazwą ulicy i ruszyłem wzdłuż Avenida Vieira Souto. Napawałem się przyjemnym ciepłem powietrza potęgowanym przez nagrzaną bruk pod moimi stopami. Kupiłem piwo, kolejne piwo, kokosa i znowu piwo. Paliłem przy tym cały czas. Za skałami wkroczyłem na jeszcze tłoczniejszą Avenida Atlantica. Zmęczony spacerem zszedłem na gorący piach i ruszyłem w stronę wody. Przygotowanie do kąpieli nie zajęło mi wiele czasu. Zrzuciłem japonki, koszulkę pozostawiając na sobie jedynie luźne spodenki o bujnym kwiatowym

wzorze. Ciekawe jak wyglądałem rzucając się po łóżku w moim małym pokoju naśladować pływanie, skoki przez fale i nurkowanie. Kiedy w objęciach pościeli napawałem się wyimaginowanym rajem. Skończyłem mokry od stóp do głów. Ubrałem się i opędzając od sprzedawców o spalonych słońcem twarzach wyruszyłem tam skąd przyszedłem. Odmówiwszy zakupu prażonych orzeszków, waty na patyku, biustonoszy rozwieszonych na starym parasolu, olejków, ręczników, okularów, krewetek i soku z guarany poległem przed mężczyzną ze sportowymi koszulkami.

- Obrigado.

- Flamengo. Quarenta reais.

- Obrigado. Não falo Português.

- Não. Obrigado. Obrigado.

- Vinte.

- Dez reais.

- Dez.

- Obrigado.

- Obrigado. Tchau.

- Tchau.

Nie rozumiałem nic, ani z tego co mówił sprzedawca, mężczyzna o pomarszczonej twarzy i chudych umięśnionych rękach, ani z tego co mówiłem ja sam. Pewnym jednak było, że nabyłem czarno-czerwoną koszulkę w pasy z numerem dziesięć na plecach. Podobała mi się. Założyłem ją i szedłem dalej ku znajomym skałom. Kiedy wracałem na Avenida Vieira Souto spostrzegłem, że szum fal przyjemnie kojący moje uszy i nie pozwalający mi się obudzić stawał się coraz cichszy. Jego miejsce zajmował też szum, ale odmienny. Bardziej chaotyczny. Albo moje uszy zaczynały się przyzwyczajać do bliskości oceanu, albo było to coś zupełnie innego. Nie zamierzałem się nad tym dłużej zastanawiać. Przysiadłem na plastikowym krześle tuż przy drewnianej budce z napojami i zamówiłem kolejne piwo. Dopiero teraz, siedząc wygodnie mogłem dostrzec jak wygląda miasto. Równoległe do plaży, na podobieństwo muru odgradzającego deptak od majaczących w tle wzgórz, stały ustawione rzędem wysokie budynki – banki, biurowce, hotele. Wpatrując się w okoliczną architekturę, podniósłszy nieco wzrok, dostrzegłem, że brunatno-ceglany kolor wzgórz to nie przypadek. Wszystkie co rusz obsiane były maleńkimi domkami sąsiadującymi ze sobą tak blisko, że nie sposób było dostrzec żadnych detali. Zupełnie jak jednobarwna mozaika.

Przerwałem obserwacje. Szum stawał się coraz głośniejszy tak, że przestałem go lubić. Nie słyszałem już rozmów. Tym bardziej nie słyszałem wody. Przez moment myślałem, że może nadmiar alkoholu zawrócił mi w głowie. Do szumu dołączyły omamy wzrokowe. W oddali, pomiędzy małymi domkami pojawiły się ciemniejsze punkty. Jeden, drugi, setny, tysięczny. Łączyły się aż zlały się w jedną całość, a poprzednia mozaika przykryła się nową, bardziej czekoladowo-brązową. Oprzytomniałem natychmiast, gdy nowa barwa z prędkością lawiny ruszyła ku plaży. Zsuwała się po zboczach aż dotarła do równiny, gdzie na moment zniknęła mi z oczu, by zaraz wypełznąć z uliczek pomiędzy budynkami sąsiadującymi z deptakiem. Od hałasu pękała mi głowa. Odstawiłem piwo i wstałem. Mur został zdobyty. Mozaika była już blisko mnie, po drugiej stronie ulicy. Przyszła tu, przybiegła, przyjechała na starych motocyklach. Bez kasku. Kiedy ponownie zaczęła się dzielić spostrzegłem ludzkie istoty z kijami i pochodniami. Z bronią wsuniętą za spodnie. Mieszkańcy wzgórz wtargnęli do

banków, biurowców, restauracji i hoteli i już po chwili wlekli po asfalcie ludzi w garniturach. Ludzi z aparatami na szyi i tych, którzy w panice przeżuwali kęsy niedojedzonych posiłków. Ruch uliczny stanął. Przez stłuczone okna wystrzeliły słupy ognia i dymu. Biegacze biegli jeszcze szybciej, uśmiechy zniknęły z twarzy a słońce skryło się za chmurą. Krzesła wokół mnie opustoszały. Nawet fale uchodziły z plaży coraz głębiej w ocean. Chciałem podejść bliżej i jednocześnie uciekać. Nawet nie drgnąłem. Niestety widziałem wszystko. Pałka, głowa, asfalt, mózg i krew. Skwierczenie przypalanej skóry. Piękne twarze wokół mnie zamieniły się w złowieszcze osmalone mordy, złane potem gęby o wybałuszonych ślepiach. Pośród błagalnych łkań ludzie ze wzgórz rozpoczęli ucztę. Na obrusach z ubrań o wartości większej niż onegdaj ich życie zaczęli wgryzać się w ciała zabitych tak, że słyszałem chrupanie pękających kości. Przerażony rozejrzałem się dokoła. Dorośli łączywie opróżniający czaszki, kobiety opychające się pulchną, gąbczastą macicą tej, którą przed chwilą zadusiły. Dzieci w obdartych spodenkach szarpiące między sobą jelita z ciepłego jeszcze ciała. Wszystko to w rytmie złowieszczej samby. Spojrzałem też w dal wypatrując golema. Stał tak jak wcześniej zwrócony twarzą ku innej części miasta. Nie mógł widzieć ani słyszeć tego co ja. Miałem więc rację. Drżały mi ręce. Drżałem cały.

Nagle spostrzegli mnie. Odrzucili konsumowane kończyny i zaczęli głośno warczeć. Powolnymi krokami ruszyli w moją stronę. Chwyciłem się za koszulkę żeby pokazać, że jestem z nimi. Że im kibicuje. Palce ześlizgnęły mi się jednak po śliskim materiale. Miałem na sobie koszulę, garnitur, lśniące buty i krawat. Najwyraźniej sprzedawca musiał być z nimi. Wiedział jak wszystko się skończy. Byłem blondynem o gładkich dłoniach. Szli właśnie po mnie. Krzyknąłem najgłośniej jak mogłem, lecz z moich ust wydobyło się jedynie delikatne, bezgłośnie chuchnięcie. Krzyknąłem po raz ostatni, gdy zamachnęli się kijem. Potem straciłem przytomność.

Zbudziłem się na pustej kanapie. Pościel i prześcieradło leżały obok na podłodze doświadczone mocno realnymi następstwami koszmarnego snu. W pokoju nie było nikogo. Na szczęście. Tylko z telewizora dochodziły ciche głosy dyskusji bezsennych ekonomistów o definicje i rolę w życiu terminów, których w tej chwili nie byłbym w stanie nawet powtórzyć. Z początku niepewnie wstałem, by pójść napić się soku z lodówki. Moje kroki były powolne i wyważone zupełnie jakbym badał grunt pod nogami. Czy zbudziłem się na pewno? Czy to może tylko sen we śnie, a zbudzenie się będzie powrotem do koszmaru? Sok. Tak sok. Starłem się łapać rzeczywistości i nie zapętlić w milion nowych możliwości mojego obecnego położenia w potencjalnie równoległych światach. Orzeźwiający smak jabłka przepływający niczym balsam przez gardło dał mi już pewność, że się zbudziłem. Że jestem w kraju normalnych owoców tak odmiennych wyglądem i smakiem od tych wiszących na drzewach ex-raju.

Poprawiłem poślanie i jeszcze raz ułożyłem się do snu przyjmując pozycję embrionalną z ręką wciśniętą między kolana. Trochę bałem się zmrzyć oczy jednak nigdy wcześniej nie zdarzyła mi się sytuacja, by śnić dwa koszmary z rzędu. W telewizji przeskakiwały kolejne obrazy aż w miejsce powtórki programu pojawiła się panorama jakiegoś miasta. Miasta dość dużego i położonego wokół centrycznie usytuowanego zbiornika wodnego. Jeziora albo zatoki. Tylko tyle zdążyłem zauważyć. Mignęła i urwała się, by powrócić po chwili i coraz częściej gościć na ekranie aż do całkowitego zdominowania mojej świadomości. Uwiedziony widokiem kołowałem nad aglomeracją schodząc coraz niżej i zataczając coraz to mniejsze koła. Nie słyszałem silnika. Nie mógł

być więc to helikopter. Samolot też nie. Paralotnia. Tak właśnie. Paralotnia wróżyłaby całkiem ciekawy sen. Jeszcze nigdy nie latałem na paralotni. Moje przypuszczenia potwierdził wiatr, który pod dyktando swoich kaprysów pchał mnie w sobie tylko znanym kierunku. Przebiwszy się przez otulinę z gęstej mgły, będąc bliżej ziemi zacząłem uważnie się rozglądać w poszukiwaniu przestrzeni choć trochę przyjaznej lądowaniu. Miasto charakteryzowała raczej niska zabudowa na planie łączących się poprzecznie ulic. Z góry wyglądało wszystko jak gigantyczna krzyżówka, ja zaś jak brakująca litera, która zapomniała swoich współrzędnych. Wśród wielu dostępnych punktów wybrałem kilka, które przy odrobinie szczęścia typowałbym na miejsce swojego upadku. Uderzenie w wodę byłoby rozwiązaniem najprostszym i gwarantowało w miarę bezpieczne lądowanie, o ile oczywiście nie zaplątałbym się w olinowanie lub rybackie sieci. Na obrzeżach, niedaleko dużego czerwonego mostu znajdował się park, który również posłużyć mógł za przytulne lądowisko. Pozostałe opcje zawierały się w wielu pomniejszych parkach i placach usytuowanych wokół, wydawało się, centrum, lecz utrafienie w nie wymagałoby ogromnej precyzji, by nie roztrzaskać się o ściany budynków i nie skończyć pod kołami masywnych aut. Moje rozmyślenia i analityczny dobór miejsca ustąpiły rezygnacji wraz z kolejnym mocnym podmuchi wiatru. Zdałem sobie sprawę, że nic już nie zależy ode mnie. Dałem więc ponieść się sile natury, która z całą pewnością z wprawą większą niż ja posadziła mnie na ziemi na dość prostokątnym, otoczonym domami handlowymi placu. Macy's, Cheesecake Factory, Victoria's Secret, Louis Vuitton, Union Square. Obco brzmiące nazwy napadły mnie z neonów, afiszy, reklam oraz witryn sklepowych wywołując lekki kulturowy szok. Mijające mnie setki ludzi wręcz przeciwnie nie wydawały się być zaskoczone niczym. Człowiek uwalniający się z paralotni na podwyższonej schodami, centralnej części handlowego placu nie wywołał najmniejszej, tak pozytywnej, jak i negatywnej reakcji. Pozostałem niezauważony. Dziwny to musi być zakątek, gdzie człowieka nic już nie dziwi. Dziwny acz w pewien sposób piękny. Rosnące tu palmy wystrzelały wysoko w niebo, zapewne w poszukiwaniu słońca, którego przez wzgląd na cień rzucany przez okoliczne budynki nie mogły znaleźć niżej. Dawały tym samym typowo miejskiej zabudowie element egzotyki i przyjemnego oddechu. Rzeczywiście też ludzie chyba przychodzili tu odetchnąć, bo większość z nich korzystała z uroków dnia popijając kawę, herbatę lub gawędząc ze znajomymi i nieznanymi na schodach i trawnikach. Niektórzy chwile te uwieczniali na zdjęciach robionych przy ustawionych przeciwległe po obu stronach placu ogromnych kolorowych sercach. Zostawiłem moją paralotnię i ruszyłem przed siebie, co oznaczało dokładniej próbę opuszczenia placu podążając wzdłuż budynków po mojej prawej stronie. Gdy doszedłem do skraju placu dostrzegłem, że jest on rodzajem usytuowanej na dużej wysokości platformy, do której prowadzi stroma ulica. Stroma na tyle, że dla wygody przebyć ją można swego rodzaju kolejką lub może raczej tramwajem. Obejrzałem się za siebie. Ulica mijając plac wiodła jeszcze wyżej. Może zatem nie rodzajem platformy, a przystankiem w drodze jeszcze gdzieś wyżej. Gdzie? Nie wiedziałem. Z natury ciekawy, ale też i leniwy wybrałem jednak drogę w dół, by sprawdzić, co leży u podstaw miasta. U podstaw placu. Wsiadłem razem z innymi na co rusz podzwaniającą kolejkę, nie dzielając jednak ich niezrozumiałego entuzjazmu. Droga w dół nie trwała długo. Rozglądałem się uważnie, by nie przegapić niczego. Jechaliśmy Powell Street jeszcze bogatszą chyba w sklepy i restauracje niż plac, który właśnie opuściłem. Ludzie robili setki zdjęć, którymi potem zapewne zamierzali zanudzić

na śmierć swoich bliskich i znajomych. Ja nie robiłem. Nie miałem aparatu. Wyszedłem z wagonika i wyciągnąwszy z kieszeni zwitek banknotów zapłaciłem nie zwracając uwagi na nominały. Przede mną rozpościerała się szeroka, dwukierunkowa ulica. Market Street. Tu ruch wydawał się nigdy nie zatrzymywać, czym ulica przypominała rzekę, tyle że bardziej niebezpieczną, bo pełną aut. Przechodnie na chodnikach, samochody, karetki, wózki inwalidzkie a nawet ciągnące znad nieodległej wody mewy. Wszystko pędziło i nie zamierzało się zatrzymywać. Gdyby nie sygnalizacja świetlna pewnie nigdy nie udałooby mi się przejść na drugą stronę. Udało się jednak. Właśnie tutaj, stojąc naprzeciw przecięcia się Powell i Market Street postanowiłem obserwować co dzieje się w mieście.

Nadchodził środek dnia. Słońce świeciło z wysoka, a po porannej mgle nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Kolorowa rzeka Market Street wydawała się rozpędzać. Zatrzymując wzrok na dłużej w jednym punkcie zaobserwowałem jednak, że niektóre punkty obrazu, jak martwe piksele, zdają się nie poruszać. Tkwiły w miejscu, co ciekawe, nie blokując przepływu pozostałych. Byli to głównie murzyni i murzynki przyodziani mimo wysokiej temperatury w grube płaszcze, z bujnymi, zmierzwionymi czuprynymi o twarzach łagodnych od życiowej kłębki lub narkotyków. Jeden z nich przykuł moją uwagę szczególnie. Był barwny i uśmiechnięty. Nie siedział na chodniku, a stał w swoich kolorowych skarpetkach i wytartych młodzieżowych adidasach wymachując transparentem wyciętym z kartonu z koślawym napisem „JESUS LOVES YOU” i wymalowanym ogromnym, czerwonym sercem podobnym tym, które widziałem na Union Square. Zasłaniany i odsłaniany co rusz przez kolejnych przechodzących ludzi wydawał się momentalnie znikać i jeszcze szybciej pojawiać jak cudaczna postać ze starych animacji lub migająca fatamorgana, czym wzbudził moją sympatię jeszcze bardziej. Pokrzykiwał też coś, lecz bardziej dla siebie chyba, bo nie widziałem, by spowodował zatrzymanie się kolejnych fragmentów rwącego prądu rzeki. Teraz tym bardziej chciałem stać, by pokazać swoją aprobatę i wsparcie dla tych niewielu, których czas zdawał się nie dotyczyć. W szczególności zaś dla niego. Zakręconego szaleńca, który uwierzył, że kogoś obchodzi. Chciałem żeby choć przez moment się nie mylił, czym naraziłem się na nieustanne poszturchiwania tłumu i wyzwiska, których specjalnie nie rozumiałem. Przyglądałem się tej scenie przez długie minuty oczarowany magią chwili i miejsca oraz jej filmowo-artystycznym wymiarem. Tworzyłem w głowie historie o ludziach, których uwiódł ów pocziwy szaleniec o twarzy naznaczonej głębokimi bliznami po trądziku i spojrzeniu śmiejącego się dziecka. O takich, którzy w zły dla siebie dzień spotkali go i odmienili swoje życie, by później podać mu pomocną dłoń, dać posiłek i dach nad głową. Roilem sny o Jezusie, który naprawdę go pokochał, podczas gdy znikąd, w jednej chwili, wokół mężczyzny pojawili się ubrani na czarno ochroniarze i otoczywszy go okręgiem założyli mu czarny foliowy worek na głowę. Przyciskając worek na wysokości ust odczekali aż nogi bezdomnego ugięły się pod bezwładną resztą ciała. Konspiracja agentów nie była konieczna. Nikt niczego nie zauważył. Dlaczego miałby? Moja paralotnia wciąż nietknięta stała przecież na Union Square uchodząc zapewne za performance lub dziwaczny happening. Mnie natomiast nie oszukali. Nie zmamili swoją wytwornością czarnych garniturów i ciemnych szkieł w okularach. Wszystko trwało nie więcej niż kilka sekund. I tym razem krzyczałem. W miejskim gwarze brzmiałem jednak jak kolejny normalny głos, cichszy może nawet od pozostałych. Ruszyłem w stronę ochroniarzy. Znowu czerwone światło. Rzeka nie zamierzała ustąpić. Widziałem fortunny zbieg okoliczności. Worek, śmieciarka, zsymp,

strzepnięcie rąk i poklepywania po plecach. Dobra robota, gdy ja cały czas stałem na przejściu mogąc się jedynie przyglądać. Rozejrzałem się wokół. Teraz przy wszystkich sklepach stały grupki ochroniarzy. Zepsute piksele zniknęły, obraz był czysty. Bez skazy. Gdy zapaliło się światło przebiegłem przez ulicę najszybciej jak tylko mogłem. Nie zastałem już tam jednak agentów. Tylko na chodniku leżał transparent coraz bardziej zadeptywany butami przechodniów. Szarpnąłem jednego z nich za rękaw chcąc zapytać o to co zaszło przed momentem.

- Have you seen it?

- Excuse me? What?

- They've just killed homeless and dumped him into the trash!

- Calm down sir. Nothing happened.

- I saw it!

- Calm down sir. Jesus loves you.

- I believe he does.

- Security!

Puściłem rękaw łysiejącego mężczyzny zadziwiony po raz kolejny wyimaginowaną biegłością w posługiwaniu się językami obcymi. Nie rozumiałem nic z rozmowy, ale nim zdążyłem się zorientować otoczyły mnie znajome twarze w ciemnych okularach. Zarzucili mi worek na głowę i nastąpiła kompletna ciemność. Traciłem świadomość robiąc coraz płytsze i bardziej chaotyczne oddechy tworząc perfekcyjny akompaniament do charkliwych śmiechów rozbawionych funkcjonariuszy. Jak często do cholery mogą jeździć te śmieciarki? Obudziłem się na szczęście nigdy nie uzyskawszy odpowiedzi.

Poprawiłem jeszcze raz pościel. Byłem zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad tym co się stało. Wyłączyłem telewizor i niemal natychmiast zasnąłem. Tak bardzo żałuję, że nie zapamiętałem trzeciego snu.